

Przestrzeń życzliwości

Rozmowa z ANNA POLONY

- Obejrzałam „Wieczór trzech króli” Williama Shakespeare’a w Twojej reżyserii. Dyplomowy spektakl studentów krakowskiej PWST. Czy prof. Anna Polony lubi pracować z młodzieżą?

- Kocham młodych ludzi, przebywając z nimi, sama czuję się młoda, gdzieś tam w środku dalej taka jestem. Lubię szaleć, powygłupiać się. Czasami zapominam o swojej roli profesora, pedagoga i zachowuję się, w stosunku do studentów, jak koleżanka, co nie zawsze przynosi dobre skutki.

- Tym razem wynik jest znakomity, Twój uczniowie stworzyli ciekawe Szekspirowskie role.

- To zdolna grupa, dlatego zgodziłam się na przygotowanie dyplomu, mimo że parę lat temu przyrzekałam sobie, że reżyserować nie będę.

- Większą treść odczuwasz jako reżyser czy jako aktorka?

- Bardziej przeżywam, kiedy reżyseruję. Każda zła recenzja, złośliwa krytyka, uszczypliwa uwaga, zwielokrotnia się, bo dotyczy nie tylko mnie, ale i ludzi, za których biorę odpowiedzialność. To straszny bagaż. Jednak zrobiłam to przedstawienie, gdyż trudno było mi rozstać się z moimi studentami. W ciągu lat nawiązała się między nami serdeczna nić. Chciałam im pomóc w starciu do zawodu aktora.

- Dlaczego Ty go wybrałaś?

- Dobiegam końca swojej kariery, nie zadawaj mi takich pytań, już nie mogę go zmienić.

- A gdybyś mogła, zmieniłabyś?

- Nie wiem. Nie umiem szyc, ani gotować, nie mam zdolności matematycznych, nie lubię pisać, choć rezultaty nie są ponoć najgorsze. Więc przepraszam, co mogłabym robić?

- Granie sprawia Ci przyjemność?

- Tak.

- Od lat jesteś aktorką Starego Teatru. Czy to miejsce ma taki urok, że nie można się od niego oderwać?

- To nie tylko urok. Stary Teatr ma w sobie tajemnicę, nie wiem, czy tkwi ona w miejscu czy grupie ludzi, która się tu znajduje. Od momentu, gdy przyszedłam do tego teatru, byłam oczarowana atmosferą, swobodą, wzajemną życzliwością, przyjemnością bycia tutaj. Wcześniej, przez cztery lata, grałam w Teatrze im. Słowackiego. Reżyserując, poznałam inne, bardzo dobre zespoły, jednak takiej niezwyklej życzliwości, jaka wytwarza się między aktorami w czasie prób na scenie Starego Teatru, nigdzie nie spotkałam. Za kulisami czasem sobie dokuczamy, zazdrościmy, złościmy się na siebie, jednak kiedy wychodzi się na scenę, czuje się zbiorową odpowiedzialność zespołu. Nawet gdy spektakl jest gorszy, coś nie wychodzi, czuje się serdeczność, emanującą z ludzi, wzajemne zrozumienie, wspólną myśl o sztuce. To jest fenomen zespołowości Starego Teatru, jego osobowość.

- Osobowość kształtują ludzie.

- Na pewno zaczął Władysław Krzemiński, człowiek niezmiernie kultury, niezwyklego poczucia humoru, prawdziwy artysta, on aktorów kochał. Nie byłam w teatrze za jego dyrekcji, ale myślałam, że to dzięki niemu zaczęło kiełkować drzewko, które obrastało wciąż nowymi liśćmi, bo ci, którzy „przyjęli się”, te nowe „szczępki”, stawali się integralną jego częścią. Zygmunt Hübner przepięknie to kontynuował.

- A Konrad Swinarski, grał w wszystkich inscenizowanych przez niego przedstawieniach.

- Wraz z Konradem zaczęły się wielkie loty Starego Teatru. Myślę, że te lata, wspólnie przeżyte ciężkie chwile, gdy baliśmy się o rezultaty pracy, to mozolne dążenie, stworzyło między nami jakąś wyjątkową więź i mocno nasz zespół zintegrowało.

- Czy ta wspólnota trwa nadal?

- Taka wyjątkowa więź pewnie nigdy się już nie powtórzy, choć było kilku reżyserów, z którymi współpraca budziła w mojej psychice drgania, wibracje, jakieś wyjątkowe stany uniesienia, twórczego natchnienia. Nie chcę wymieniać nazwisk. Jeśli spojrzę na reżysera na literaturę, na materię teatru przede wszystkim, bliskie jest temu, co ja czuję, porozumiewamy się, a rezultaty są zazwyczaj bardzo dobre. Jeśli różnimy się w tych zasadniczych



- Niestety, obecny konflikt z dyrekcją teatru zespół rozbiła.

- Z Konradem Swinarskim pracowałaś przez 10 lat. Czy z innymi reżyserami współpracowałaś podobnie?

sprawach, a to, co on czuje, jest mi obce, wtedy bywa bardzo trudno, a to, co powstaje z takiej współpracy, powstaje jak gdyby przeciwko mnie.

- To trudny zawód, wymaga nieustannej sprawności fizycz-

nej, umysłowej i psychicznej. Daje radość, gdy ma się powodzenie, a kiedy go brak, bywa bolesny.

- O tak. Bywają wielkie radości i koszarne klęski, czasem trudne do zniesienia. Kiedyś strasznie cierpiałam czytając złe recenzje i każda złośliwość powodowała załamanie. Gdy musiałam robić nie to, co powinnam, byłam chora. Stąd moja nerwica.

- Chyba najtrudniej jest, kiedy się nie jest obsadzonym?

- Taki okres też miałam, ale przewidując go, zrobiłam dyplom na Wydziale Reżyserii PWST w Krakowie. Po śmierci Konrada czułam się zupełnie zagubiona, bałam się przyszłości. Myślałam: Jeżeli przestanę grać, to co będę robić? Kiedy Konrad reżyserował, sekundowałam mu, podglądałam, czasem nawet pomagałam, asystowałam. Za jego namową zrobiłam „Dwoje na huśtawce”. On temu patronował. Więc kiedy Konrada zabrakło, pomyślałam, że reżyseria to też sposób.

- Na życie?

- Na ewentualne wypełnienie życia, gdybym miała przestoje, nieszczęście dziury w graniu. Tak się też stało. Gdyby nie to, że pracowałam w PWST, że trochę w teatrach reżyserowałam, to byłoby dla mnie bardzo ciężki czas.

- „Poskromienie złośnicy” w Twojej reżyserii idzie już cztery lata w gdańskim teatrze.

- To przedstawienie zrobiłam razem z Żukiem Opalskim.

- W aktorstwie wróciłaś do bardzo szczęśliwej passy. W telewizji zobaczyliśmy cudowną, ciepłą, zabawną i piekielnie

złośliwą Babcie w „W sprawie ogłoszenia”, trudną do grania Matkę Courage, a ostatnio byłaś świetną Maman Liedermayer w „Wiośnie Narodów”. W teatrze grasz w trzech jednoaktówkach Yukio Mishimy, Ernę Korn w „Lunatykach”, Aazę w „Peer Gyncie”, w Teatrze STU grasz Matkę w „Królowej Matce”. Jesteś przed premierą „Operetki” Witolda Gombrowicza w swoim macierzystym teatrze. Którą z tych ról lubisz najbardziej?

- Chyba Ernę właśnie.

- Ciągnie Cię do komedii?

- Chociaż zostałam wychowana na dramacie.

- Komedio to wyższy stopień, znacznie trudniej ją grać.

- Trudniej. Właśnie Konrad przygotował mnie do tego, że postacie komediowe trzeba malować ciepiutkimi ruchami piórka.

- I tak je grasz. W „Królowej Matce” prawie nie schodzisz ze sceny. Ile czasu potrzeba, aby wrócić do normalności po dwugodzinnym napięciu?

- Dużo. Zасыpiam dopiero koło pierwszej, albo drugiej. Czytanie też nie relaksuje. Naprawdę odprężam się, rozwiązując krzyżówki. Uwielbiam Jolki, rozwiązując je wyciszam się i wracam do rzeczywistości.

- Grałaś wiele ról. Czy są takie, które chciałabyś powtórzyć?

- Każda rola jest niespodzianką, w każdej można znaleźć coś frapującego. Czekam na propozycje.

- A czy jest tekst, sztuka, którą chciałabyś reżyserować?

- Nie chcę już reżyserować. Premiera w PWST kosztowała mnie utratę paru kilogramów i kilka bezsennych nocy. Nie mam potrzeby reżyserowania, ona się rodzi wtedy, kiedy nie gram.

Rozmawiała:
BARBARA GROTOWSKA